

WALTER NIGG, Dänikon (Szwajcaria)

ŚWIĘCI WIDZIANI INACZEJ

Zdumiewające jest pytanie, które słyszy się na końcu lubianej sztuki Thorntona Wildera „Nasze miasteczko”: „Czy są ludzie, którzy żyjąc zgłębiają życie? Czy są oni zdolni czynić to kiedykolwiek?” Ukrywający się w tle reżyser odpowiada na to pytanie negatywnie, ponieważ wedle niego ludzie są zaślepieni. Po krótkiej pauzie ogranicza jednak swoje przeczenie dodając: „Może święci i poeci — w pewnym stopniu”. Godne niemałej uwagi jest to, że w nowoczesnej sztuce, która zwyczajne życie w amerykańskim miasteczku rozwija w niekonwencjonalny sposób, można się natknąć na ostateczne pytania życia i dostrzec, iż odpowiada się na nie wskazując świętych i poetów. Thornton Wilder pozwala tylko dwóm grupom ludzi nie ulec tępych mechanizmom życia wypełnionego żalną doczesnością: „Może święci i poeci — w pewnym stopniu”. Ta wypowiedź zmusza nas do zastanowienia się; nasza zaniepokojona myśl musi zatrzymać się przy niej na dłużej.

Od poetów rzeczywiście można wiele się nauczyć. Autentyczny poeta jest natchnionym człowiekiem, który nie może być nigdy zrównany ze zwykłym beletrystą. Ale czym jest poezja w jej istocie, trudno powiedzieć, w najlepszym razie daje się tylko bezradnie zaznaczyć: stwarza ona przede wszystkim pewną atmosferę, w której się oddycha, ale której odczucie jest niejednemu człowiekowi na zawsze obce. Wielcy poeci zajrzeli w głębie życia i dostrzegli tam coś nieopisanie wspaniałego, lecz także i coś przerażającego. Mają oni możliwość to dojrzenie ubrać w słowa i prowadzić nim ludzi przez wszystkie ścieżki życia. Coś cennego wiąże się z poetami, któż chciałby w to poważnie wątpić?

Margrete Susman, będąc sama autorką melancholijnych wierszy, wywodzi w swoich wspomnieniach: „Jest z pewnością ostateczną prawdą, że przeżyte życie liczy się jedynie w stosunku do najwyższej wartości. Niekończące się cierpienia wielkiego artysty płyną stąd, iż nie jest on w stanie tej wartości zrealizować swoją sztuką, choć zna ją przed wszystkim innym. Ogromną tajemnicę stanowi także to, że właśnie najwięksi ludzie prawie zawsze tworzyli, zamiast żyć. Naprawdę żyć mogą tylko święci” Te słowa wprowadzają do wypowiedzi Thorntona

Wildera, „może tylko święci i poeci — w pewnym stopniu” małą poprawkę: pozostają jedynie święci. Naprawdę wielcy poeci mieli zdolność tworzenia cudownych dzieł, ale nie byli w stanie ukształtować odpowiednio życia. Nie udało się to nawet Goethemu, nie mówiąc już o Kleiście, Puszkynie, Rimbaud, których życie we wstrząsający sposób zostało złamane. Poeta może ideał jedynie postawić przed oczy, lecz nie potrafi go sam realizować. A tymczasem chodzi właśnie o urzeczywistnienie ideału. Odczuwamy największy respekt przed poetami, którzy pozostają drodzy naszemu sercu, mimo to myślimy intensywniej o świętych. Wedle własnych słów poety święci noszą „większe korony”. Mają oni inną rangę, ponieważ umiłowali słowo, a nie tylko je wypowiedzieli.

Co to są za ludzie, którzy najpierw zostali wymienieni razem z poetami, a potem wyniesieni ponad nich? To są święci. Nie mają oni nic wspólnego z tymi lichymi figurami z gipsu, które podsuwano nam zbyt długo przed oczy. Również olejne obrazy w większym stopniu zasłoniły ich twarze, niż odsłoniły, a z całą pewnością przystęp do nich został prawie beznadziejnie zatarasowany. Całkiem świadomie zegnamy takie obrazy, gdyż ich ramy stały się zbyt robaczywe, ich moralna wymowa straciła siłę i odczuwa się przy nich prawie beznadziejną nudę. Powinniśmy się starać zapomnieć skostniałe wizerunki świętych, żeby poważnie i bez uprzedzeń spotkać samych świętych.

Staje więc przed nami zadanie zobaczenia świętych inaczej i zarazem na nowo, dostrzegania ich w czynieniu prawdy, doświadczenia ich jako nosicieli najwyższej łaski i jednocześnie najgłębszego unizenia. Należy koniecznie w nowy sposób pojąć źródła, co nie znaczy, że trzeba świętych modernizować, modne bowiem sposoby pisania idą zawsze za chwilowymi trendami, które w krótkim czasie znowu się zestarzeją. Pojąć źródła w nowy sposób to dojrzeć problemy i wielowarstwowość świętych, to rozważać ich życie z głębszych punktów widzenia. Nową hagiografię tylko w części traktujemy jako naukę, ponieważ jest ona dla nas raczej religijnym widokiem oraz artystyczną konstrukcją. Przede wszystkim święci muszą być przedstawiani z uwzględnieniem ich pełnego temperamentu i na tle potrzeb ich czasów. Ale jak można o nich dziś mówić nie wytartym językiem, językiem odróżniającym się od typowej obecnie paplaniny? Zapewne sama próba mówienia o świętych nowymi słowy nie jest łatwym przedsięwzięciem, wymaga niemal charyzmatu, dlatego pytam siebie z pewnym zmieszaniem, czy ten temat nie jest zbyt trudny. Akademickim stylem nie da się on już opanować i kto w krytyczny sposób mówi o świętych, ten nie dosięga ich istoty. Potrzebny jest nowy alfabet, który aktualnie dopiero sylabizuję i który często wymawiam jeszcze z błędnym akcentem. Boży posłańcy są dostępni jedynie dla języka miłości, kryją bowiem pewną tajemnicę, która odsłania się tylko temu, kto z pełnym czci nastawieniem otwiera im swoje serce. Nowy język zakłada osobiste przekonanie do świętych i zarazem pewien wysiłek; bez tego nie można o nich przekonująco pisać.

Postawmy najpierw pytanie: czy w ogóle można świętych zdefiniować? Otóż, nie da się chyba podać określenia świętych, ponieważ są zbyt różnorodni, a ponadto otrzymalibyśmy tylko nową kliszę, która bardzo prędko stałaby się tak nieznośna jak te wcześniejsze. Ich życie

cehuje się tak wielką bezpośredniością, że do jej przedstawienia nie wystarcza nawet urzędowy język Kościoła. Ale ja nie waham się, wbrew dzisiejszym czasom, nieskrępowanie mówić o świętych, a nie np. o religijnych geniuszach, ponieważ wiem, że nie ma nikogo bardziej życiowego i pełnego znaczenia od tych, którzy daleko wyszli poza zrutynizowane chrześcijaństwo. Święci są ludźmi podejmującymi decyzje na innej płaszczyźnie życia, niż cała reszta i dlatego jako wzorzec są po prostu niezastąpieni. Jeśli zaświtało nam już pewne przecucie tajemniczej rzeczywistości świętych, idźmy naprzód aż do chwili, kiedy stanimy bezpośrednio przed jaśniejącą realnością owych postaci, których widok przeniknie nas radością i drzeniem. Pamiętajmy przy tym, iż przy budowie świątyni Salomona „nie słyszano żadnego młota, żadnego topora, ani jakiegoś innego żelaznego narzędzia”. Również i nasze śmiałe staranie, żeby zobaczyć świętych inaczej, powinno się dokonywać bez hałasu: nie może się w nie włączyć żadne pragnienie dyskusji, polemiki czy efekciarstwa. Potrzebujemy przede wszystkim siły płynącej z duchowego skupienia, ciszy, spojrzenia do wnętrza naszego serca, bo bez tego nie zobaczymy nigdy nawet odblasku świętych ludzi. Za prawo uczciwego mówienia o świętych trzeba zapłacić najwyższą cenę, gdyż chodzi o rozżarzenie ognia, który obecnie tli się tylko w popiele a ma zapłonąć w czytelniku jasnym płomieniem. Nie tylko świat w swej ślepotcie nie rozumie niczego ze świętych, nawet chrześcijanie zbyt często nie wykazywali należnego im zrozumienia. Nie mogę zapomnieć słów z „Dziennika wiejskiego proboszcza”: aż nazbyt często święci byli dla Kościoła próbą, zanim stali się jego chwałą.

Człowieka czyni świętym bezpośredni związek z Bogiem. Święci spotkali Boga w tak realny sposób, że przekracza to naszą zdolność pojmowania. Oto nagle wezwał ich pewien głos, lub spadła na nich pewna wizja tego rodzaju, że bez obawy samoułudy, z intuicyjną pewnością poznali, że stanęło przed nimi to co wieczne. Pełni uczucia bojaźni ledwie wazyli się poruszać, a jednak wejrzenie Boga przeniknęło ich i stali się odtąd ludźmi naznaczonymi przez Wszechmocnego. Takie przeżycia były rzeczywistym doświadczeniem Boga i bez tego rodzaju przejmującego wtargnięcia nadprzyrodzonej mocy żaden człowiek nie stał się świętym. Dla nich Bóg nie był tylko jakąś ideą czy przedmiotem problematycznego dowodu, lecz był zniewalającą, przeżyta realnością. Opanowało ich przekonanie, że „nasz Bóg jest pożerającym ogniem”. Mówiąc o spotkaniu Boga przez świętych, stajemy bezpośrednio przed najgłębszą ich tajemnicą, przed niewyczerpanym źródłem, z którego żyli. Konkretnie zachowanie się świętych pozostałoby niezrozumiałe, jeślibyśmy przeoczyli to owiane tajemnicą przeżycie.

Dzięki nierozzerwalnemu związkowi z Bogiem święty staje się prawdziwym człowiekiem. Nie jest on ani gwiazdorem, ani pozanormalnie uzdolnioną istotą, jak to podejrzewa psychologia głębi. Raczej odbija się w nim czyste podobieństwo Stwórcy i dlatego jest dla nas najbardziej znaczącym człowiekiem, że przy całym swoim uniżeniu najwyraźniej ucieleśnia obraz Boga. Ciągłe słyszy się pytanie: „czym jest człowiek?” Współczesność nie potrafi dać na nie odpowiedzi, ponieważ nie zna żadnej religijnie ugruntowanej antropologii. W postaci świętych stoi przed nami z całą wyrazistością prawdziwy człowiek, w pełnej zagadek mie-

szaninie wspaniałości i nędzy. Święci są ludźmi z ciała i krwi, podobnie jak my. Ta wypowiedź brzmi pięknie, jednak widziana dokładniej, nie jest wcale oczywista. Jeśli się ją konsekwentnie rozwinie w powiązaniu z trzeźwym realizmem, budzi natychmiast oburzenie we wszystkich pobożnych duszach, które opis świętych mieszają ciągle z budującymi opowiadaniem. Poznanie świętych jako ludzi tego samego rodzaju co my, prowadzi do zrozumienia, że nie przyszli oni na świat z aureolą, lecz stali się świętymi w wyniku długiego procesu, po ciężkich wewnętrznych walkach i przewyciężeniach. Ciało i krew są twardą rzeczywistością, kryjącą w sobie zbawienie i zgubę. Ciernisty krzak, w którym tarzał się św. B e n e d y k t zanim stał się mistrzem zwalczania pokus, nie jest miłym obrazkiem. Nie zdobywa się świętości jednym chwytem, lecz osiąga się ją tylko w nieprzerwanej walce, zaczynającej się od nowa każdego dnia. Nie należy jej także zrównywać z brakiem ułomności, bo te spotyka się u wszystkich świętych. Rzadko kiedy wchodzili święci w agonię z pogodnym uśmiechem, gdyż aż nazbyt często cierpieli śmierć w ostatecznym opuszczeniu, a po niej ich ciało rozkładało się w najzwyczajniejszy sposób. Musimy opisywać wszystkie te sprawy z bezwzględny realizmem, niczego nie dodając ani nie ujmując, do tego bowiem zobowiązuje nas miłość prawdy. Tylko ostry sposób pisania położy radykalny kres ucudownionym historiom, które tak długo dowolnie przypisywaliśmy świętym. Ten wielki realizm prowadzi nas krok po kroku do nowego spojrzenia na świętych, dającego jakieś odczucie wichru Bożego porywającego ludzi.

Święci to przede wszystkim ludzie z pewną misją, i zrozumienie tego ma rozstrzygające znaczenie. Żaden z nich nie został świętym ze względu na siebie samego, dla wzbudzenia podziwu. Święci są zawsze ludźmi posłanymi, którzy zjawili się w określonej godzinie światu i otrzymali od Boga znaczące zadanie. Otrzymali polecenie przeniesienia pewnego posłannictwa i ich misja działa jak przedłużenie Objawienia. Owa misja ma związek z historią. Czasu, w którym żyjemy, nie należy lekceważyć, ponieważ żyjemy jako chrześcijanie w nurcie historii, a nie już w wieczności. Święci żyją zawsze w swoim czasie i świadczą, iż Bóg wiąże z nimi jakieś plany. Jednak mimo związku ze swoim czasem nie dają się pochłonać wszystko pożerającemu molochowi ducha czasu, lecz przechodzą w ponadczasowość i są posłanymi również do nas, choćby żyli w pierwszych wiekach. Każdemu świętemu przekazał Bóg pewną ideę, która dotyczy chrześcijan wszystkich czasów. Jak więc odpowiadamy my, współcześni ludzie na posłannictwo świętych? Przechodzimy bezmyślnie i obojętnie obok ich misji, czy też przenika nas ona do głębi? W każdym razie godzina świętych zawsze trwa, bo zawiera w sobie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość i na tym polega jej „nieaktualna” aktualność.

Właściwością świętych jest to, że nie robili oni rzeczy, których oczekiwał od nich rozum. Zdrowy rozsądek ludzki jest osławioną miarą, która odpowiada szczególnie obywatelom społeczeństwa dobrobytu. Mądry rozum nie dostrzega przy tym zupełnie tego, że rachunek życia nigdy się nie zgadza i zawsze pozostaje nieusuwalna reszta, o którą właśnie chodzi. Święci nie rachowali i dlatego nie rozumieli ich nigdy poczciwi ludzie prowadzący skrupulatnie domowe rachunki. Don B o s c o

nie kierował się wcale liczącym rozsądkiem, lecz po prostu robił to, co właśnie musiało być zrobione, choćby nawet nie było wiadomo, skąd wziąć potrzebne ku temu środki. Powiedzmy to z całym naciskiem: logika, z której nasze myślenie jest tak dumne, nie odgrywa u świętych większej roli. W tym podobni są do poetów, którzy również tworzą nie z logiki, lecz z intuicji. „Nie” względem logiki nie wywołuje jednak u świętych zamieszania, lecz poddaje ich rozum w posłuszeństwo Chrystusowi. Dokąd więc zostali zaprowadzeni, skoro zrzekli się logicznego myślenia? W nieprzeniknioną Boga, przed którą my się wzdrygamy. Jednak święci przełamali wszystko i doświadczyli przy tym łagodnej litości Bożej. Zdobyli się na odwagę, żeby rzucić się bez namysłu w boską przygodę. Wyrzeczenie się rozsądku stwarza pozory, jakoby święci postępowali jak głupcy. Przeciętni chrześcijanie nigdy nie rozumieli głupstwa ze względu na Chrystusa. Natomiast święci żyli z niego i to odróżnia ich od nazbyt roztropnych teologów. Bez zabiegania o wiedzę otrzymali rzeczywiste oświecenie, dzięki któremu mogli pojmować rzeczy o wiele jaśniej niż jacykolwiek mędrkowie. Głębokie rozeznanie występujące u świętych jest tym bardziej zdumiewające, że często przeszli tylko przez podstawowe szkolne wykształcenie i nie byli szczególnie uzdolnieni. Stanowi to znak, że życia świętych nie da się wyjaśnić naturalnymi przyczynami: byli zakorzenieni w innej, niewidzialnej rzeczywistości. Kto boi się sfery nadnaturalnej, ten w ogóle nie rozumie świętych; ich życie pozostanie dla niego księgą zamkniętą na siedem pieczęci.

Przez długi czas kładziono główny akcent na cnotliwość świętych i usiłowano wykazywać, iż każdy święty posiada wszystkie cnoty, co prowadziło do usztuczonych historii. Teraz także nie należy odrzucać słowa „cnota” w jego pierwotnym sensie, jeśli mianowicie wiąże się z nim jeszcze heroiczny wysiłek wykraczający poza zwykłe osiągnięcia. Mimo to trzeba dziś oszczędniej obchodzić się z wyrażeniem „heroiczne akty cnoty”, ponieważ jest ono użyte i podkreśla jeszcze moralne nieporozumienia. W gruncie rzeczy święci odznaczali się przede wszystkim dwoma wewnętrznymi osiągnięciami, do których nam bardzo daleko.

Po pierwsze, święci posiadli niewzruszoną wiarę, której wszakże nie pojmowali jako wygłaszanie jedynie pewnych wyuczonych na pamięć zdań. Wiara ma mało wspólnego z samą tylko zgodą, jest ona raczej nieustannym patrzeniem — w trakcie spraw życia — na Boga. Wiara wspiera się całkowicie na tym, co wieczne, gdyż wie, że bez pomocy Wszechmocnego nic nie może. Święci zawierzyli i nie żądali dowodów. Wierzyli prosto, wbrew wszelkim pozorom; ich wiara była skromnym, ale niezwykle żywym zaufaniem Bogu. Od świętych właśnie uczymy się, czym jest naprawdę wiara, w nich bowiem występuje ona w swej rdzennej formie. W każdym razie są oni dalecy od wszelkiego wahlowego chrześcijaństwa z przyzwyczajenia. Żywa wiara to zaiste wielka rzecz, więc i do naszych najważniejszych zadań należy usilne zabieganie o wiarę podobną do wiary świętych; jest to nieskończenie ważniejsze niż cała suchotnicza ruchliwość, którą dzisiejszy chrześcijanin chce zagłuszyć swój pusty bieg życia.

Po drugie, święci wiązali z wiarą miłość. Kochali Chrystusa płoną-

cym sercem i ze względu na Niego zapominali o wszystkim na świecie, także o sobie samych. Ale nigdy nie zadowalali się samym mówieniem o miłości. Owa boska miłość skłoniła Franciszka do całowania ze czcią ran trędowatego, bez obawy przed zarażeniem. Miłość ma swój własny porządek; nie my ją wywołujemy, lecz ona nas prowadzi i kto chce być złączony z Chrystusem, nie może pozostawać poza jej zasięgiem. W gruncie rzeczy nie sposób wyczerpująco mówić o miłości; rozciąga się ona poza naszymi słowami i jej język — podobnie jak język mistyki — składa się ze zdań, nad którymi nie mamy władzy. Odślania się ona temu, kto naprawdę miłuje.

Z lubością zarzuca się świętym, iż hołdowali ucieczce ze świata, podczas gdy dzisiejszy chrześcijanin — jak zwykle się mówi — chce wejść w świat i konfrontować się z nim. To powiedzenie należy do arsenału haseł, którymi wymija się współczesne problemy. Nie ma nic trudniejszego niż wejść w świat i nie zostać przezeń pochłoniętym, lecz w środku pogmatwanych zajęć podtrzymywać modlitwę, kontemplację, ciszę. Widzieć właściwie świat w jego połyskliwych barwach może tylko ten, kto zachowuje względem niego pewien dystans i ogląda go z góry. Wtedy dojrzy jego złote kolory i zarazem jego przeraźliwą nędzę. Święci mieli umiejętność takiego patrzenia i ze względu na nią Thornton Wilder mógł odpowiedzieć: „może święci — w pewnym stopniu” Ostrożne to wyrażenie, ale ostrożność jest zupełnie na miejscu. Święci również nie przejrzeni planu świata — to może jedynie Bóg, ale jako ludzie stojący pośrodku życia czuli, jak mają się sprawy z początkiem i końcem świata. Kochali świat po kryjomu, kochali tak bardzo, iż prawie nie można tego wypowiedzieć, a przecież pamiętali przy tym, że będą zachowani dla czegoś lepszego. Jeżeli się nie nosi w sobie tej tajemnej pewności tamtego świata, można być oszukany przez życie. Święci nie igrali z życiem przez szukanie uciech, lecz wiedzieli o egzystencji to, że wszystko ma swój czas: narodziny i śmierć, śmiech i płacz, taniec i skarga, miłość i nienawiść. Świętym życie jawiło się jako niezgłębiona, często wprost paląca zagadka, kryjąca w sobie i komedię i tragedię. Żadne zmiany porządku społecznego nie zdołają usunąć ze świata radości lub bólu. I święci rzeczywiście w jakimś stopniu to dostrzegali, gdyż zawsze patrzyli na pieniące się życie z innego brzegu. Owo wertykalne spojrzenie znacznie przewyższa wszelkie spojrzenie tylko horyzontalne i płaskie.

Z przedstawionej próby zobaczenia świętych inaczej, należy wyciągnąć pewne wnioski, bo bez rozważenia konsekwencji zdobytego poznania pozostaje ono bez wartości.

Najpierw zapytamy: czym byłoby chrześcijaństwo bez świętych? czy świat by jeszcze istniał? Pewien głęboko myślący chrześcijanin odpowiedział na to: „byłby olbrzymim, rdzewiejącym na deszczu zwaliskiem przewróconych lokomotyw, spalonych wagonów, pokrzywionych szyn i porozrzucanych narzędzi”. Jest to drastycznie powiedziane, ale daje wierny obraz historii Kościoła, która bez świętych byłaby „mieszaniną błędu i gwałtu”. Ten przygnębiający pogląd możemy w pewnej mierze pojąć, jeśli zastanowimy się nad dzisiejszą sytuacją, w której święci zostali zepchnięci na drugi plan, a chrześcijanie oddają się różnorodnej głupiej gadaninie. Jakież zamieszanie i bezradność wewnątrz

chrześcijaństwa. Aktualnie broni się w ramach Kościoła niejasnych i dowolnych idei i niewielu jest takich, którzy mają jeszcze jasny sąd oraz dar rozróżniania duchów. Każdy uznaje i robi to, co chce, za wszelką cenę pragnie być modnym i nie zauważa przy tym, iż płynie z prądem czasu. Gdy się poważnie rzecz rozważy, to my wszyscy potrzebujemy w pierwszej kolejności wskazówek, pomocy, oparcia. Święci są solą chrześcijaństwa i światłością świata. Oni natychmiast przywracają rzeczom, w ostatnich latach tak nieszczęśliwie poprzesuwanym, ich właściwe miejsce, stwarzają jasność, porządek i nowe życie, a czynią to w sposób łagodny i cichy. My potrzebujemy właściwych wzorów, potrzebujemy tak koniecznie jak codziennego chleba, gdyż tylko z nimi jesteśmy w stanie wygrać ciężką walkę duchów współczesności.

Następnie jesteśmy przeświadczeni o tym, że „Kościół potrzebuje nie reformatorów, lecz świętych” Mówi się dziś niejednokrotnie o drugiej reformacji, mając przy tym na myśli katolicki Kościół po soborze. Jest to jednak mroczna mowa ludzi, którzy zupełnie nie widzą właściwych problemów współczesnego chrześcijaństwa. Reformacja XVI wieku doprowadziła do godnego pożałowania podziału chrześcijaństwa, tym niemniej wyszła ona z nowego odkrycia Bożego słowa i ono wycisnęło na niej swoje znamię. Takiego rozstrzygającego przeżycia słowa Objawienia zupełnie brak współczesnej egzegezie Biblii, ona bowiem rozstrzępia swoimi racjonalistycznymi metodami Pismo św. i odbiera mu blask. Z tego powodu mamy dziś do czynienia nie z reformacją, lecz tylko z pewnymi reformatorami. Zapewne niektóre zmiany w Kościele były konieczne, jak choćby dotyczące praktyki małżeństw mieszanych, która wymagała nowego uregulowania ze względów duszpasterskich. Jednakże idzie się w fałszywym kierunku, jeśli pokłada się wielką nadzieję w reformach. Chrześcijaństwo potrzebuje przede wszystkim wewnętrznej odnowy, którą osiągnie tylko wtedy, gdy czerpać będzie ze swych pierwotnych źródeł. Święci mogą poprowadzić ten proces odnowy, oni bowiem nie troszczą się o modne slogany i nie trwonią sił na jakieś eksperymenty. Udowadniają treścią swojego życia, że Kościoła nie reformuje się we właściwym sensie tego słowa przez ułatwienia czy odrzucanie ciężarów, lecz przez nowe trudy, cierpienie i ofiarę, jak to pokazała wielka Teresa z Avili. Dlatego do podstaw Kościoła należą — obok Pisma św. i sakramentów — przede wszystkim święci. Oni są w stanie obudzić w chorym chrześcijaństwie nowy heroizm, którego potrzebujemy, o ile nie chcemy zginąć marnie w naszej stagnacji.

Podkreślmy wreszcie, iż wielu chrześcijan myśli obecnie: to, co opowiada się o świętych, jest słuszne i dobre, ale przecież nie ma już więcej świętych. Dziś przeważają politycy i technokraci, gwiazdy filmowe i rekordziści sportowi, natomiast dla świętych brak już miejsca. Oni należą do przeszłości. W średniowieczu roilo się od świętych, lecz w naszych oświeconych, przyrodniczo zorientowanych czasach są to postacie niemodne. Czy jest to zarzut znaczący, czy też stanowi on prostą wymówkę, która nie jest wcale tak nowa, na jaką wygląda? Matka św. Katarzyny ze Sjeny mówiła do swojej córki, gdy ta przygotowała sobie w ojcowskiej farbiarni celę samotności: „Dziś nie ma już żadnych świętych” Ponad sześćset lat temu sądzono już, że czczymi twierdzeniami można zniweczyć dążenie do świętości. Ale kto

chciałby uzurpować sobie prawo rozstrzygania, iż dzisiaj nie ma więcej świętych? Czy ojciec Maksymilian Kolbe nie był świętym, on, który ofiarował się w bunkrze głodu za drugiego człowieka? Czy nie byli świętymi męczennicy, którzy zostali pomordowani przez zbirów Trzeciej Rzeszy? Czy nie jest świętą matka Teresa, zbierająca umierających na ulicach Indii? Wedle mego przekonania święty jest pozaczasowym zjawiskiem, występował dawniej, występuje obecnie i będzie żył także jutro, ponieważ ucieleśnia on lekarza choroby czasu. My możemy obecność świętego zauważyć lub nie, ale to nie zmienia niczego w jego ukrytej aktualności. Święty naszych czasów przejawia się nie tak, jak sobie życzymy lub wyobrażamy, lecz w sposób dla nas użyteczny. Jest on naszą nadzieją i naszą zachętą. Zaprzeczanie egzystencji świętych w dzisiejszych czasach to przejaw grubej niewiary. Są oni obecni wśród nas w ukrytej postaci, często niedostrzegalni, ale odczuwamy ich zbawienną siłę, której chrześcijaństwo stale potrzebuje.

Jednakże nie wystarczy wierzyć w ukrytych świętych obecnej doby, musimy przecież zrobić jeszcze ostatni krok i powiedzieć: „powołani do tego jesteśmy również my”. Świętość to nie jakiś luksusowy artykuł dla dusz wybranych, to raczej chrześcijańskie zadanie skierowane do wszystkich ludzi. Apostoł pisze niedwuznacznie: „Wola Bożą jest uświęcenie wasze”. Rozkaz Boga jest obowiązujący i dokładnie wypowiedziany. Nie wolno mówić: „to nie dla mnie, ja jestem inaczej uzdolniony i interesuję się przede wszystkim nowoczesnymi kwestiami”. Wobec Bożego żądania nie ma znaczenia to, jakie uzdolnienia posiada człowiek; ono jest nieubłagane, choćbyśmy nie wiadomo jak chcieli uwolnić się od niego. Beznadziejna tragedia naszego życia leży nie w braku sukcesów, nie w źle wybranym zawodzie, nie w pozbawionych szczęścia małżeństwach, lecz w stałym grzęźnięciu w obojętność. Prawie cały czas życia obracamy na to, żeby to najlepsze, co w sobie mamy, zniszczyć, a swoją wiarę wdeptać w ziemię. Ze względu na to nieodpowiedzialne postępowanie w samo serce trafiają słowa wizjonerskiego poety Julien Greena: „Przynajmniej trzydzieści lat obracamy na to, aby zabić świętego, który przedziera się w nas do istnienia”. Zamiast gorliwie naśladować manifestację woli Bożej: „ja jestem święty i wy także powinniście być święci”, uciekamy w sferę tego, co niezobowiązujące. A jednak musimy się pozytywnie nastawić, bo jedynie w Absolutie leży ratunek dla naszej generacji; nie pomogą nam ani relatywizm, ani pluralizm. Zbadajmy nasze sumienia: dokąd byśmy doszli, jeśli chcielibyśmy naśladować świętych? Czy wszystko nie zostałoby zachwiane? Co by się stało? Zdarzyłoby się największe duchowe trzęsienie ziemi, całe skostniałe chrześcijaństwo nabrałoby ruchu, ciasne ściany gnuśności naszego serca rozpadłyby się z trzaskiem. Jak w Dziejach Apostolskich zabrzmiałoby znowu: „mężowie, którzy poruszają cały świat, przybyli tutaj”. Na nowo zacząłby płonąć ów ogień, o którym Chrystus powiedział, że przyszedł go na ziemi zapalić, potem pełen tęsknoty dodał: „Czego chciałbym bardziej, niż żeby już zapłonął”.